

Piórko

Krań Vendariona. Okruchy

Autor: Piotr Grochowski

/Błękitna Wieża Blake'a, Memoria, 13.09.59 r./

Dolores Chatterbuck próbowała zapalić papierosa trzęsącymi się dłońmi. Wszystko było nie tak. Zapalniczka nie chciała skrzesać ognia, wąski papieros nie pasował do lufki, wiał zimny, przejmujący do szpiku kości wiatr, a głośnik zawieszony gdzieś u góry wypluwał z siebie komunikat za komunikatem.

„Do diaska, czemu spotyka to mnie?“, spytała w głębi ducha. „Przecież on... ten przekłęty Bern nawet nie raczył wyjaśnić... Po prostu wyjechał“.

Pociągnęła nosem. Poprawiła miękki szalik i sięgnęła do kieszeni palta. Razem z chusteczką wyjęła piórko. Zmarszczyła brwi.

„Niby jakim cudem?“

Obejrzała znalezisko – maleńkie, białe i puszyste. Zastanowiła się, wodząc wzrokiem po okolicy. Zmierzchało, ostatnia jasność dnia majaczyła gdzieś pomiędzy wieżowcami. Ponad głową Dolores schodził do lądowania oczekiwany sterowiec – duży, szarobłękitny *Aard Hummel*, maszyna nowego typu.

„Ekskluzywny środek transportu“, przypomniała sobie reklamowy slogan.

Skrzywiła usta w gniewnym grymasie.

„Chrzanić sterowce, podróże i chrzanić Bernarda Bonneta, razem z jego cholernym dyrektorskim stołkiem w dziale transportu“, zadzwiała w duchu i znów ujrzała okiem wyobraźni gigantyczną reklamę na drapaczu chmur. „W *Kettler-Droome* – największej korporacji jaką zna współczesna Vendaria“.

„Chrzanić“.

Błysnęło. Niebo zapłonęło, ciemne chmury rozstały się, jakby jakiś gigantyczny stwór rozdrapał czerń ognistym pazurem – wybuch rozerwał kadłub sterowca. Zrobiło się niezwykle gorąco, cały dach zalało światło, jak za dnia. I ten podmuch. Dolores nie zdołała utrzymać się na nogach. Pęd szarpnął jej ciałem, rozchełstał palto, porwał szaliczek. Poleciała. Z przerażeniem w oczach patrzyła na mijaną barierkę, krawędź dachu, rynny i jakieś szare konstrukcje. Pod nią była otchłań, dziesiątki pięter do ziemi, do twardego asfaltu, do kamiennych płyt trotuaru.

Spadała moment, dłuższą chwilę, przez wieczność. Zamykała i otwierała oczy. W końcu znieruchomiała. Coś gryzło ją w nosie, swędziało, delikatnie łaskotało po twarzy. Rozejrzała się. Odruchowo dmuchnęła, wysuwając dolną szczękę w przód. Biel unosiła się wokół niej, wirowała. Ktoś krzyczał, a w górze, bardzo daleko w górze, rosła kula ognia, pochłaniając dach wieżowca.

Jakiś mężczyzna pomógł jej wstać, inny pytał:

– Czy nic się pani nie stało?

Przecierała oczy. Ktoś mówił podniesionym głosem, z niedowierzaniem:

– Z góry?

„Biel. Do diaska”.

– Z samej góry? To niemożliwe...

Biel powoli się rozwiewała, wiatr zabierał drobinki, gnał je między kłębiących się ludzi, pomiędzy samochody.

– Nie jest ranna?

Dolores przytrzymała się ramienia jednego z mężczyzn.

– Nie ma ani jednego zadrapania, to niebywałe.

Poczuła się dziwnie zmęczona. Powieki jej opadały, nogi były jak z waty. Nim zemdląca, usłyszała jeszcze niski głos jakiejś kobiety:

– I co, do cholery, robi tutaj to całe pierze?

„Piórko, o do diaska”.